

Autor po godzinach

z Januszem L. Wiśniewskim
rozmawiają Emilia Kledzik i Joanna Roszak

Januszem L. Wiśniewski, fot. archiwum prywatne

[s. 52]

kadr z filmu „Samotność w sieci”, reż. Witold Adamek (2009)

[s. 57]



Podział na prozę męską i kobiecą to sprytny wymysł wydawnictw. Ponad 70 procent kupujących to kobiety, w bibliotekach procent wypożyczających kobiet jest jeszcze wyższy. Zatem napis: książka kobieca to marketingowa informacja adresowana do licznych odbiorczyń.

To w czym kobiety są lepsze od mężczyzn? We wszystkim, szczerze mówiąc. Mają mniej siły fizycznej. Ale w czasach, gdy dysponujemy tyloma przyrządami, siła fizyczna jest potrzebna na ringu. A nawet tam są dobre.

Myśli Pan – pytanie na czasie – że położyłabym sobie płytki w łazience?

A myśli pani, że ja bym położył? Teraz jest ważne, że facet ma pieniądze na faceta, który położy płytki w łazience. Kobiety akurat rzadziej chcą to robić. Dam paniom taki przykład: pracuję w międzynarodowej firmie we Frankfurcie nad Menem, która przechodziła z rąk do rąk. W najgorszym okresie finansowym tej firmy, kiedy tonęła w długach, dyrektorem została kobieta, starsza pani z San Francisco. Nie dość, że co tydzień latała, by zobaczyć rodzinę, miała tyle mil na koncie, że mogłaby kilka razy okrążyć świat, to firmę postawiła na nogi. A jednocześnie wykazywała bardzo kobiece

cechy. Kiedyś w piątek o 22 przyszła do mojego biura i spytała: Janusz, a na ciebie nikt nie czeka w domu? Żaden facet nie wpadłby na to, by wygnać swojego pracownika do domu, bo ktoś tam na niego czeka. Tylko kobieta na to wpadła. Kobiety w czasie zebrań nie chcą udowodnić za wszelką cenę, że mają rację, są konkretne, skupione na projektach. Prowadzone przez nie spotkania przebiegają bardziej kulturalnie. Poza tym kobiety mają lepszą chemię, oksytocynę, zupełnie nieznaną facetom hormon.

Ale bardzo sfeminizowane środowiska z powodu swojej monoptciowości bywają patologiczne.

Racja. Kiedy środowisko jest silnie sfeminizowane, to też niedobrze. Ja akurat miałem deficyt kobiet w życiu.

Nie widać tego w Pana prozie.

Teraz mi się wyrównuje, mam nadmiar kobiet.

Ma Pan przecież dwie córki.

Córki to zupełnie inne kobiety, nie można z nimi rozmawiać na wiele tematów. Miały problem z czytaniem moich książek. Nie myślą, że ojciec może fantazjować. Ojciec – myślą sobie – tylko dwa razy uprawiał seks: za pierwszym razem urodziłam się ja, za drugim – moja siostra.

A nagość jest tematem tabu w Pana domu?

Tak, pochodzę z dość tradycyjnej rodziny. Nigdy nie przeszedłbym nago przy moich córkach. Choć zupełnie inaczej jest u moich niemieckich znajomych. Niemcy uwielbiają się rozbierać. To normalne, że w czasie lunchu pracownicy banku schodzą na trawnik, rozpinają swoje białe bluzki i pokazują staniki, przy kolegach z sąsiedniego biurka opalają się w środku miasta. Czuję dyskomfort, gdy idę z córkami do sauny. Ze swoimi rodzicami o takich sferach jak seks czy erotyka też nie rozmawiałem.

+

Jak Pana zdaniem jest, lepiej, zdrowiej?

Niemieckie podejście wydaje się zdrowsze, choć odziera z tajemnicy. Podejście do seksu staje się mechanistyczne, zaplanowane, pozbawione magii „pierwszego razu”. Może w czasach AIDS to dobre.

Co ze słowiańskiej duszy warto pielęgnować?

Spontaniczność. Właśnie wróciłem z 2-tygodniowego pobytu w Rosji. Moje książki w Polsce cieszą się popularnością, ale w Rosji są uwielbiane. Niezwykłe: widzieć siebie na plakatach, a w metrze czytających ludzi. Młode kobiety podchodzą do mnie na przejściu dla pieszych, w restauracji, by podziękować. Może fotografie są większe na rosyjskiej okładce, w każdym razie: tam mnie rozpoznają. U nas pisarz to po prostu facet, który zarabia na życie pisaniem. Czasy Żeromskich już dawno się skończyły. Teraz pisarz, gdyby nie dawał swoich tekstów do gazet, nie miałby za co zapłacić czynszu. Chyba że jest bestsellerowy, jak ja. W Rosji natomiast to ciągle ktoś dotknięty palcem Bożym. Nie chcę mówić, że jak Dostojewski, Tołstoj, Gogol, ale to ciągle przewodnik, filozof, autorytet.

„Samotność w sieci” wystawia rosyjski teatr.

Przepięknie, film Adamka nie umywa się do spektaklu. Teraz wakacyjna przerwa, ale teatr wynajął scenę, by grać tę sztukę.

Mam studentkę, która jest Rosjanką, z Petersburga właśnie...

Musi mnie znać [śmiech].

...przy okazji przerwy w zajęciach poszliśmy na papierosa, spytała, co robię w weekend, a ja powiedziałam, że jadę do Warszawy zrobić wywiad z popularnym pisarzem, nazywa się Janusz Wiśniewski. Widziała Pana spektakl.

Dwa razy grałem w tym spektaklu małą rolę po rosyjsku. Na zasadzie happeningu.

W filmie też Pan grał.

Tę samą rolę. Kłoszarda. Teraz, ucząc się rosyjskiego, mieszkałem 2 tygodnie w teatrze. Pięknie mieszka się w teatrze.

Fenomen Pana popularności na Wschodzie złośliwie skwitowała dziennikarka „Gazety Wyborczej”: każdy przyjazd Wiśniewskiego do Rosji jest jak pogrzeb Stalina.

Są granice zawiści... Chciała pokazać, ile osób przychodzi na spotkania, ale zrobiła to sarkastycznie.

W Polsce miewa Pan różną prasę.

W Rosji pewnie też, ale jej nie czytam.

Jak Pan sobie radzi z tym, że niektórzy w Polsce są Panem zachwyceni, ale inni piszą: to literatura masturbacyjna.

Jeżeli tylko piszą uczciwie, nawet uczciwie źle, to znaczy, że przeczytali. A o to właśnie chodzi. Magia sztuki polega na tym, że nie wszystkim podoba się to samo. Jestem za tym, by sztuka się polaryzowała. Na początku mnie ta zła prasa bolała, bo pracuję jako naukowiec. W nauce recenzje wystawia się przed publikacją, a później już wara, nie można pisać źle. Uważam, że nie ma dobrej krytyki literackiej ani w Polsce, ani w Niemczech. Może dba o to Reich-Ranicki.

Polak zresztą...

Czasem go widuję, z żoną na wózku, bo mieszka we Frankfurcie. Ale nie mam odwagi podejść i dać mu książki. Przydałoby się, żeby mnie skrytykował w gazecie [śmiech]. Zgadza się, nie mam dobrej prasy, piszę o emocjach i bardzo duży kawał tortu odbieram innym autorom. Na dodatek: nie muszę. Bo nic się w moim życiu nie zmieni, jeśli przestanę pisać. Dalej będę miał na wino, bagietkę i wakacje na Bora-Bora. To nie kokieteria, ale prawda. Żyję z pisanía, ale programów komputerowych.

Najbardziej zmartwiłyby się moje córki, które skutecznie wydają kasę na zakupach w różnych europejskich miastach.

No i nie mogłyby powiedzieć: mój tata jest pisarzem.

Tym nie mogą się pochwalić, bo w Niemczech jestem pisarzem nieznanym, więc nie powiedzą koleżankom: to są książki mojego ojca. Literatura polska w Niemczech, wbrew temu, co myślimy, nie jest szczególnie znana. Szczypiorski, Nurowska, Stasiuk, był Krajewski, ale tylko dlatego, że Breslau. Masłowska dlatego, że pokazała model Polaka, który klnie i mieszka w blokowisku. Taki model Niemcy chcieli mieć.

A Chwin, a Huelle?

Ale kto zna ich nazwiska? Nie ma nikogo, kto wszedłby na rynek i był znanym pisarzem.

Dlaczego nie zabiega Pan o tłumaczenie swoich książek na niemiecki?

Dlatego, że chcę mieć dwa światy, hermetycznie od siebie oddzielone. Nie chcę, by koledzy postrzegali mnie – z moją habilitacją i doktoratami – jako autora bestsellerów, który oczekuje specjalnego traktowania. Wiedzą, że piszę książki, trudno tego nie wysledzić w świecie Internetu. Ani nie trzymam tego w tajemnicy, ani tego nie ogłaszam. Nigdy nie zabiegałem o publikację w Niemczech. Lubię przelecieć nad Odrą i mieć spokój, bardzo to cenię. W tym sensie prowadzę podwójne życie. Pamiętam, jak profesor chemii, recenzent pracy mojego doktoranta, powiedział: Myślałem, że jesteś poważnym człowiekiem, a ty powieści piszesz.

Teraz w dużym, niemieckim wydawnictwie – tym samym, które opublikowało „Wilgotne miejsca” Charlotte Roche – pojawi się „Bikini”, więc ta sytuacja się pewnie odmieni.

To pierwsza moja książka na rynku zachodnim. Wcześniej byłem na Litwie, w Łotwie, na

Ukrainie, w Albanii, Wietnamie, w Rosji, Bułgarii...

Obawia się Pan zachodniego debiutu? Pan dużo pisze o Niemczech. W „Bikini” pokazuje Pan uładowany obraz wojny: wiadomo, kto jest dobry, a kto zły.

Uważam, że jako Polak mieszkający 23 lata w Niemczech, syn więźnia obozu i matki Niemki urodzonej w Berlinie, mam prawo tak pisać. U mnie spotkania niemiecko-polskie nie odbywały się na łamach gazet, tylko pod rodzinnym dachem w Toruniu. Ani matka nie uczyła mnie miłości do Niemców, ani ojciec nie uczył nienawiści.

Tym dziwniejsze, że nie jest Pan znany w Niemczech.

Wyobrażają sobie tam panie „Samotność w sieci” w 2002 roku, książkę opowiadającą o emocjach w Internecie? Było już 100 książek na ten temat. Jaka nowość? W 2001 roku reklamowanie mojej książki jako cyberromansu byłoby chybione. W ogóle jaki cyberromans? Przecież w niej wydarza się o wiele więcej, bohaterowie używają Internetu, by się komunikować. Nazwanie powieści w ten sposób to największy grzech, jaki można było popełnić.

Mogło także nie chwycić z powodu emancypacji kobiet w Niemczech. Bohaterka „Samotności...” niczym się nie odróżnia od przeciętnej niemieckiej businesswoman. Może stąd także Pana popularność w krajach postsowieckich, w których mniej wyemancypowane kobiety czytają tę prozę i dochodzą do wniosku, że ich cielesność i emocje też są istotne.

Bardzo wyemancypowana bohaterka na końcu podejmuje „dziwną” decyzję. Im młodsze czytelniczki, tym bardziej się jej dziwią. Te około trzydziestki nie myślą już, że postąpiła źle. Co prawda z Jakubem płonie uczuciowy pożar, ale przecież ognisko rodzinne jeszcze licho się tli.

„Samotność w sieci” była psychoterapią?

Wielu autorów tak pisze. Za godzinę psychoterapii płaci się 100 euro, napisanie książki jest łatwiejsze. I pomogło. Wyszedłem z okresu ogromnego smutku wynikającego z mojego życia osobistego. Choć dostałem później w łeb za tę książkę od najbliższej mi kobiety.

Pisał ją Pan do szuflady?

Tak, a szufladzie trudno imponować, przecież siebie nie będę oszukiwać. Dlatego ta książka trąci miejscami melodramatyzmem, w takim byłem nastroju.

Psychoterapeuta zadaje pytania, na jakie pacjent sam by nie wpadł.

W Niemczech mówi się „klient”. Sam mogę sobie te pytania zadać. Dobry psychoterapeuta nie powinien mówić: Niech pani zostawi męża. Wystarczy być względem siebie uczciwym, przyznać się do tego, co się zrobiło w życiu źle.

„Klient” brzmi bardzo sklepowo.

W końcu płacą panie za tę usługę.

Jak to się stało, że ta psychoterapia ujrzała światło dzienne? Ktoś Pana namówił do wydania „Samotności...”?

Leszek Bugajski, wówczas doradca literacki różnych magazynów, między innymi „Playboya”. Bo, wbrew pozorom, „Playboy” jest gazetą o chemii [śmiech]; pisywali do niego Gretkowska, Pilch, Salman Rushdi, King w nim zaczynał. W 1999 roku prócz specjalistycznych magazynów literackich nie było miejsca na drukowanie fragmentów współczesnej prozy. A „Playboy” je drukował. Leszek Bugajski dostał ode mnie fragment „Samotności w sieci”, która się zupełnie inaczej nazywała. Tytuł wymyślił Kuba Wojewódzki, nikomu jeszcze nie wadził, szefował działowi kultury portalu Wirtualna Polska, który miał być pa-

tronem medialnym. Proponowałem na tytuł słowo „chat”, natomiast czatów nie było, podejrzewano, że się nie przyjmie. Zawsze kiedy spotykam Wojewódzkiego, dziękuję mu za to.

Ciekawi nas język, którym pisze Pan o kobiecości. Nie jest Pan kobietą, więc skąd Pan wie, jak mówimy o swojej cielesności?

Wstuchuję się.

A może Pan czyta prozę kobiecą?

Podział na prozę męską i kobiecą to sprytny wymysł wydawnictw. Ponad 70 procent kupujących to kobiety, w bibliotekach procent wypożyczających kobiet jest jeszcze wyższy. Zatem napis: książka kobieca to marketingowa informacja adresowana do licznych odbiorczyń.

„Samotność...” chwyciła wśród kobiet.

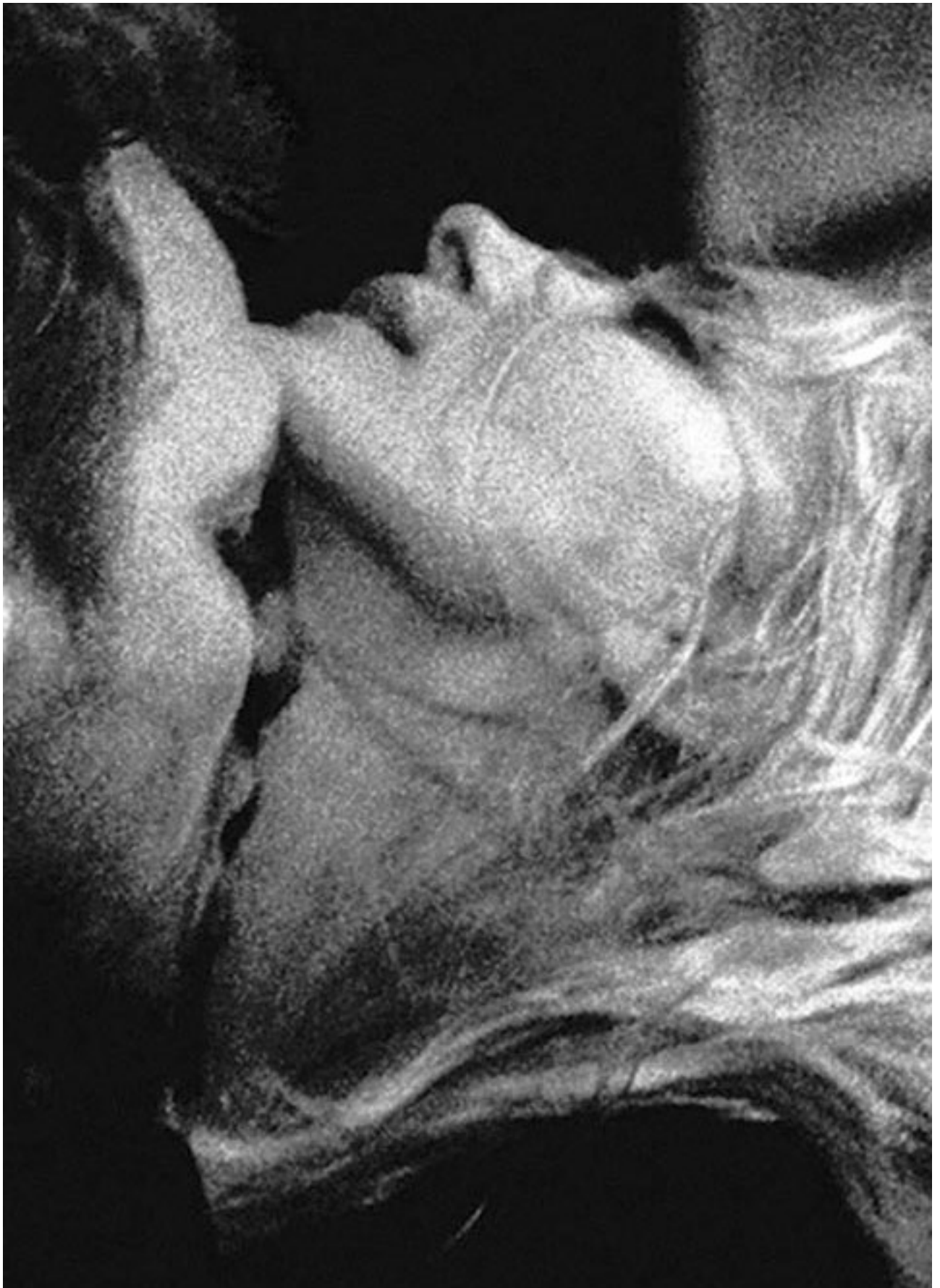
Bo bardzo lubicie zajmować się swoimi emocjami: przez telefon, w kolejkach, przy papierosie. Faceci w takich sytuacjach zaczynają milczeć. Kobiety chcą czytać o miłości, o tym temacie opisywanym od 2 tysięcy lat.

Tak długo pisze się o miłości i o śmierci.

Gdy pojawił się pomysł wystawienia „Samotności w sieci”, pomyślałem: Ruscy oszaleli. Filmu się nie udało zrobić, a co dopiero spektakl. Później rozmawiałem z dyrektorem teatru, który powiedział: Panie Januszu, jeśli w książce jest śmierć i miłość, to zawsze można ją wystawić. I ma rację. Kobiety zajmują się wszystkimi ważnymi emocjami.

Mówi Pan, że emocje to sprawa kobiet, a przecież przed chwilą usłyszałyśmy, że oparł Pan fabułę „Samotności...” na bardzo osobistym doświadczeniu.

Mam sporo kobiecych cech. Jak mówiłem, odczuwałem deficyt kobiet przez bardzo ważny okres mojego życia, bo uczyłem się w szkole



morskiej, bez dziewcząt. To było bardzo męskie miejsce, z falą, mundurami i całą resztą. Tam się kobiety idealizowało.

A nie uprzedmiotawiało?

Nie. Bardzo chce się ich dotykać, ale przez ich nieobecność stawia się je na piedestale. I może wtedy to się zaczęło, w okresie bardzo niebezpiecznym dla młodych mężczyzn, którzy w tym wieku myślą tylko o jednym. Byłem trochę inny.

Może po prostu był Pan mniej podatny na kulturowe wzorce.

Uczyłem się wierszy na pamięć, mimo że nie wolno mi było pokazywać w tej szkole, że się wzruszam, że płaczę. Może mam inny poziom empatii. Już na statku kobiety wydawały mi się lepszą częścią świata. Choć pisać w rodzaju żeńskim i wcielić się w kochankę w „Zespołach napięć” było trudno. Ale rozmawiałem z wieloma kochankami. Bardzo łatwo wymyślić, co mogą czuć.

A nie czuje Pan, że w ten sposób zabiera im głos? Zawłaszcza ich język?

Nie. Piszą do mnie, że powiedziałem to, czego one nie umieją nazwać. Panu się to udało lepiej niż mnie. Wszedłem w skórę kobiety i poczułem, jakie mogła czuć poniżenie. Przygotowuję się gruntownie z teorii, czytam wszystko, co dotyczy psychologii kobiet – po polsku, angielsku, niemiecku. Horney, Freuda, Junga, „Psychology Today”, „Psychologie Heute”, „Charaktery”, mam kolekcję skoroszytów. Później to przekładałam na język melodramatyczny.

Chciałby Pan napisać – o miłości, o miłości i śmierci, o umieraniu miłości – językiem jak Jelinek, Houellebecq, językiem surowym, ostrym, a nie takim, który wyzwole w czytelniku płacz? Nie wiem, czybym potrafił. Piszę jak czuję.

Nie chciałbym się czegokolwiek uczyć, by napisać powieść.

Ma Pan jakiś stosunek emocjonalny do takich autorów, jak Elfriede Jelinek?

Nie wzbudzają mojego podziwu. Ale czasem się zastanawiam, czy nie mają lepszego spojrzenia.

Myslałam, że mogą Pana odrzucać, drażnić. Każdy pisze o tych tematach, jak czuje. Mógłbym napisać pracę naukową o miłości, z przypisami i wzorami, ale nie chcę. I nie widzę powodu, dla którego miałbym jakiegokolwiek czytelnika łechtać i pisać, jak on chciałby czytać. Zawsze piszę dla siebie, nie widzę wtedy czytelnika. To, że mnie wydają, jest cool, ale to mi się przydarzyło. „Samotności...” ani razu nie przeczytałem. I nie chciałbym jej czytać, bo może bym się zdziwił, jak bardzo byłem melodramatyczny. Teraz jestem 12 lat starszy, dziś płynie zupełnie inna rzeka, o wiele czystsza. Ale nadal chciałbym, żeby książki wrzucały. I to się krytykom literackim nie podoba. Książki o emocjach kładą na półkę „popularne”. A książki „popularne” to w Polsce książki gorsze. „Popularny” ma wydźwięk pejoratywny, opisuje coś nieekskluzywnego. Lotniska, dworce, miłość – jakie problemy społeczne rozwiązuje ten Wiśniewski, ten autor prozy masturbacyjnej?!

Żałujemy, że nie skupia się Pan na tym, co zna najlepiej, to znaczy na męskiej duszy. Kobiety inaczej piszą o tych samych kwestiach, których dotyczy Pana proza. Znacznie brutalniej, nie tak cukierkowo.

Chciałbym choć raz mieć okres, wiedzieć, jak to jest. „Zespoły napięć” miały roboczy tytuł „Menstruacja”, nie zgodzili się na niego w wydawnictwie. Tę książkę pisałem z myślą o facetach, bo przecież wy to wszystko wiecie. A o mężczyznach napisałem „Czy mężczyźni są światu potrzebni”.

Szkoda, że psychologizm Pana powieści jest monoptciowy, a męskie postaci – papierowe, nierealne. Nie są typami macho, cierpią jak kobiety – z powodu niespełnionej miłości. Pan wybaczy, ale nie spotkałam w swoim życiu takiego mężczyzny jak Jakub.

Bo taki facet nie chodzi po ulicach, jest złożony jak puzzle, z wielu mężczyzn. Chciałem napisać o mężczyźnie, którym chciałem być. Jest nieprawdopodobny. Przychodzi, żeby powiedzieć, że spóźni się 10 minut, i tyle się spóźnia.

Nie mogę sobie wyobrazić, że moja żona ma więcej tytułów naukowych niż ja, sorry. [śmiech]. W książce „Los powtórzony”, tej bardzo polskiej powieści po kosmopolitycznej „Samotności...”, bohaterką jest stara Siekierkowa, 90-letnia góralka. Nie skończyła żadnych szkół, ale jest mądra życiowo. Nie nadawałaby się na bohaterkę romansów... Nie wiąże mądrości z tytułami naukowymi. Ale nie chciałbym, żeby moja kobieta mnie przewyższała, to chyba patriarchy w lepszej formie.

Ciekawie byłoby się dowiedzieć, co to dokładnie znaczy, że „faceci myślą tylko o jednym”.

Mężczyzna, jak odkurzacz, ma dwa przyciski, męska seksualność odbija się na wszystkim; ogromy przerost podaży spermy nad popytem. To czkawka ewolucyjna. Dlatego trudno nam się zaprzyjaźnić z kobietami.

Przyjaźń między kobietą i mężczyzną jest w ogóle możliwa? Powątpiewam...

To funkcja wielu czynników, na przykład atrakcyjności kobiety. Są kobiety, których nie chciałbym dotykać. W Polsce trudniej przyjaźnić się z kobietami niż w Niemczech, bo tu jest więcej ładnych [śmiech].

Umiąłby się Pan przyjaźnić z kobietą, której nie uważa za ładną?

Tak, wtedy się przenosi na poziom aseksualności, prawdziwej przyjaźni. Mam mało przyja-

ciół. Przyjaźń trzeba pielęgnować. Nie miałem nawet czasu pielęgnować miłości. Ale nie mogę sobie wyobrazić czystej przyjaźni z atrakcyjnymi kobietami. W końcu pojawiłaby się chęć dotknięcia, posmakowania, poznania tajemnicy, jak oddycha... To najważniejsze, zdobycie tajemnicy. Często o tym piszę.

Pan też napisał, że z wszystkich rzeczy wiecznych miłość trwa najkrócej. A szansę na spędzenie z sobą życia do końca mają ci, którzy spotykają się późno. Małżeństwo to udana instytucja?

Argumenty socjologów i antropologów przekonują mnie – są zwolennikami małżeństwa. Sorry, że tak zimno do tego podchodzę. To najlepsza instytucja gwarantująca spokój społeczny, w kontekście wychowania potomstwa, zgody w szczepie. Mężczyźni są poligamiczni i zdobywanie innych kobiet wywoływało wojny. A sformalizowany związek gwarantuje, że ta kobieta jest moja, a ten mężczyzna mój. Lepszego rozwiązania dotąd nie wynaleziono. Po pewnym czasie miłość przeradza się w przyjaźń, libido przestaje grać główną rolę. Socjologowie nazywają to habituacją. Normalny proces: nie można kogoś nieustannie pożądać.

Później wkrada się rutyna, cytuje Pan statystyki ze „Spiegła”, jakby nad tym rozpaczał: że ludzie ze sobą nie rozmawiają, że ze sobą nie spiąją. Mówi Pan: Mężczyźni są z natury poligamiczni. To musi się skończyć jakąś gigantyczną katastrofą.

Nie zawsze. Niektórzy mężczyźni uważają, że chwile uniesienia związane z obcą kobietą nie są warte straty przyjaźni i przywiązania naszej kobiety. 68 procent mężczyzn jest wedle badań poligamicznych, ale moim zdaniem, pozostałe 32 procent kłamało.

Ale skoro sam Pan cytuje statystyki, w których mowa o małżeństwach rozpadających się w trzech pierwszych latach związku, może należałoby małżeństwo uznać za przeżytek,

który sprawdzał się w czasach przed-globalizacyjnych, kiedy ludzie żyli dużo spokojniej.

Dostrzegam w ślubie nutę smutku, ale przecież istnieją rozwiązania pośrednie, niektóre mają bardzo długą tradycję. Ciągłe żyjemy w modelu patriarchalnym, od nas zależy, czy będziemy stali z flagami na okopach feminizmu.

I mówi to piewca kobiecości?!

Uważam, że małżeństwo powinno być umową co do lojalności. Kobiety przesadną wagę przykładają do wyłączności dotyku.

„Ładny” eufemizm! Chodzi o zdradę!

No tak. Mężczyźni wielokrotnie nie mają nic złego na myśli, jeśli idą z kimś do łóżka, na przykład na wyjazdach służbowych. To wielki paradoks, ale oni wciąż chcą być z jedną kobietą. Mają dom, kuchnię, w której są superdania, ale czasem chcą mieć fast food. Nie od razu chcą zmieniać całe życie, w końcu ile razy można chodzić do McDonalda. Wiem, że toczą się romanse, że ludzie mają podwójne życie, dwie rodziny – taki islamski romans. Prawo do szczęścia jest wpisane w wiele konstytucji, a z drugiej strony, nie wolno nam unieszczęśliwiać innych ludzi. O tym dylemacie można pisać w nieskończoność.

Kobiety łatwiej wybaczą zdradę niż mężczyźni?

Zdecydowanie. To wynika z ewolucji. Kobiety nie wybaczą zdrady emocjonalnej, jeśli mężczyzna dotykał mózgu innej kobiety. Jeśli jako pierwszej powiedział kochance, a nie żonie, że dostał awans, gdy mówił jej codziennie o swoim smutku lub radości – to już jest przeniesienie w inny obszar, niebezpieczniejszy niż zdrada cielesna. Nie chciałbym zostać źle zrozumiany – nie jestem rzecznikiem poligamii. Po prostu nie znajdujemy się wśród tych 3 procent monogamicznych ssaków.

Myślę, że psychoterapeuta może się przydać Słowianom – napisał Pan w „Samotności...”. Pan się nim czuje, prawda? Ta twórczość to zbiorowa psychoterapia dla kobiet.

Mam już 49 tysięcy e-maili, głównie od kobiet. Byłem pierwszym autorem, który podał adres e-mailowy. To wydawało mi się uczciwe. Bohater był w Internecie, trudno, żeby autora tam nie znaleźć. Wszystkie czytam, odpowiadam na 5 procent. Żeby odpowiedzieć na wszystkie, musiałbym się zwolnić z pracy.

Taka dzisiejsza Wistocka.

Nigdy nie podpowiadam, jak rozwiązać problem, nie wysłuchałem dwóch stron.

Rozebrał Pan kiedyś feministkę?

Myślę, że tak [śmiech]. Ale to nie była Małgorzata Domagalik.

Czy Pańska korespondencja z Domagalik nie jest odrobinę wyreżyserowana?

Ma taką genezę, że pisaliśmy do siebie najpierw prywatnie. Jej się nie podobała „Samotność w sieci”, uważała, że przedstawiłem kobietę-idiotkę, która – choć jest samodzielna i niezależna – podejmuje decyzję kucharki i gospodyni domowej. Gdy Domagalik zdecydowała się wydać nasze listy, pisaliśmy trochę inaczej, chciałem, żeby z tej książki ludzie czegoś się nauczyli, tam jest dużo nauki, danych. Bo to pycha zostawiać wiedzę dla siebie.

Kosztom interakcji między Panem i Domagalik. Zrobił się z tego cykl niezwiązanych z sobą esejów.

Ja z nią w tej książce flirtuję, uwodzę ją, a ona na to nie reaguje. Nie chce odpowiadać na moje pytania, nie chce się odkryć. Marzę, by napisać podobną książkę z Rosjanką. Wspólną powieść o rosyjsko-polskim romansie.

W „Samotności...” opisuje Pan świat, który nie przystaje do rzeczywistości, w jakiej żyją Pańskie czytelniczki. Dobre samochody, drogie wino, eleganckie wnętrza, szampan z truskawkami od rana.

Myśli pani, że ktoś chciałby czytać o wsiach pańszczyźnianych w Rosji? Zawsze się pisze o świecie niedostępnym i fascynującym. Mówi pani prawie dokładnie to samo, co Samson przy okazji promocji jednej z moich książek. Był tam też Janusz Czapliński, który powiedział mi bardzo miłą rzecz – że płakał, czytając moją powieść. Moje czytelniczki chcą przeżyć przygodę w innym, lepszym świecie, gdzie nie ma problemów z pieniędzmi. Nie napisałem „Gnoju”, nie zajmuję się problemami społecznymi, tym zajmują się prawdziwi pisarze [śmiech].

Jestem autorem po godzinach. Nie chcę Nike, chcę opowiedzieć historię. Podziwiam Pilcha, jak pięknie operuje językiem. Ale jeśli wysaczyć z Pilcha samą fabułę, zostają dwie strony... Jak reporter, przechodzę od razu do sedna, a sednem jest informacja. Nie znoszę szumu informacyjnego, bo moi czytelnicy mają mało czasu w tych metrach, autobusach i pociągach.

A co jest informacją?

Relacja cudzych losów. Ludzie lubią się podglądać. A najlepiej przeczytać o cudzych tragediach, bo wtedy nasza wydaje się mniejsza. Książka o szczęściu miałaby dwie strony. Na trzeciej już by nudziła.

W oczach feministek ratuje Pana opisywane rzeczywiste doświadczenie kobiet.

Myślą panie, że trzeba mnie ratować w oczach feministek?

To, czym się Pan zajmuje naukowo – chemia, fizyka, informatyka, cybernetyka – inspiruje Pana jako pisarza?

Z nauką zwykle związani są bohaterowie, mają do rozwiązania jakiś problem naukowy. Na-

wet w „Bikini” piszę o konstrukcji bomby atomowej. Nie mówiąc o chemii emocji w wielu moich książkach. Piszę o tym bardziej jak laborant niż poeta. Czyli z nauki czerpię wiele. To nie działa w drugą stronę, literatura niczego nie wnosi do mojego życia naukowego. W nauce trzeba być skupionym, odartym z emocji. Konstruuje moje książki trochę jak schemat blokowy programu komputerowego. Pisanie programu zaczyna się od schematu. Taki schemat książek wisi w moim biurze. Tylko koleldzy nie wiedzą, jaki tam rozrysowałem program. Czym innym jest wypełnienie schematu instrukcjami. Zaczynając pisać książkę, mniej więcej wiem, co będzie się działo z moimi bohaterami. Natomiast jak to wypełnię treścią, jakie będą fabuły – nie wiem. Żeby napisać „Bikini”, 2 lata spędziłem w archiwach i bibliotekach.

Oto moja literatura i moja nauka. Mam superromans z literaturą i jak każdy mężczyzna wierzę, że nauka jeszcze się o tym nie dowiedziała. Też obiecałem, że tylko raz będę miał romans, a miałem już z 11 książkami. Nauka, moja żona – myślę sobie – ciągle jeszcze o tym nie wie. Chciałbym taki status utrzymać, mieć obie. ○